ŚWIAT ZWIERZĘCY



Rok II **Warszawa** **Nr. 7**

1 lipca 1930 roku

Treść: „Świat Zwierzęcy“ № 7 *(Rok drugi).*

Sommaire du „Świat Zwierzęcy“ (Monde Animal) № 7 *(Seconde année).*

Table of contents of „Świat Zwierzęcy“ (The animal World) № 7.

Inhalt des „Świat Zwierzęcy“ (Die Tierwelt) Nr. 7 *(Zweiter Jahrgang).*

Cena 1 złoty.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Nr. 7 Warszawa — 1930 — Lipiec Rok II

Świat Zwierzęcy

MIESIĘCZNIK
ORGAN POLSKIEJ LIGI PRZYJACIÓŁ ZWIERZĄT

Adres Redakcji: Hoża 37 m. 4
Tel. 34-75
Adres administracji: Al. Szucha 7
Tel. 59-32

*„Obojętnych na niedolę zwierząt
i ludzka niedola nie wzruszy".*

Janina Maszewska - Knappe.

ZAGADNIENIE PSYCHIKI U ZWIERZĄT

(ODCZYT WYGŁOSZONY W ŁODZI I PABJANICACH DN. 13 KWIETNIA 1930 R.).

Zagadnienie istnienia duszy u zwierząt, ich skali uczuć i zdolności psychicznych jest tak stare, jak myśl ludzka. Poprzez wszystkie wieki rozwoju ludzkości, aż do dni dzisiejszych, szło ono i idzie za człowiekiem i w całej swej doniosłości i potędze stawało i staje przed najpotężniejszymi umysłami ludzkimi.

Narody starożytne, narody, których duch przepotężny przyświeca nam do dziś, a których kultura i zostawiony dorobek jest niewyczerpaną skarbnicą dla tylowiekowych spadkobierców, narody te istnienie duszy u zwierząt nie poddawały nigdy żadnej wątpliwości. Istniała nawet u nich *hypoteza reinkarnacji* tegoż samego istnienia (t. j. wędrówki dusz poprzez ciała zwierząt), wznoszącego się własnym wysiłkiem po stopniach coraz wyższego rozwoju, nieprzerwanie, aż do naszego poziomu. Teorja materjalistyczna ewolucji fizycznej spajała się tam z pojęciem ewolucji pierwiastka duchowego, przesuwającego się po szczeblach królestw niższych, aby dojść do etapu dzisiejszego człowieka i wznieść się może i dalej do innych, nieznanych przeznaczeń, gdy się wyzwoli i wyrwie z pętów tej ziemi.



Red. Janina Maszewska - Knappe ze swoją syberyjską charcicą — Leną.

W tej czy innej formie, według narodów starożytnych, ciała zwierząt zamieszkiwała dusza, dusza, którą w ogólnym rozwoju świata brali poważnie pod uwagę, z którą się liczyli, nad którą się zastanawiali.

Nawet więcej: U narodów starożytnych odrębność otaczających nas istot żyjących, brak u zwierząt mówionego języka, nadawała tymże zwierzętom w oczach tych narodów specjalnego, tajemniczego czaru. Dopatrywali się w nich cudownego pierwiastka bóstwa, który tak często pod postacią szlachetnych, rasowych zwierząt nawet czcili. Długie wieki rozwoju świata aż po wiek chrześcijański bratali się ludzie ze zwierzętami lub deifikowali w nich to, co było im w zwierzęciu niezrozumiałe. Już sławny filozof chiński *Li-tseu* czyli Licjusz, żyjący w V-ym w. przed N .Chr., w swym wiekopomnym systemie filozoficznym przyznawał zwierzętom uczucie i rozum narówni z ludzkim. Indyjski filozof *Sri-San-*

kara, założyciel szkoły filozoficznej w Sringagiri, uczył, że poznanie ludzkie różni się od zwierzęcego li tylko stopniem rozwoju. Jeżeli zaś chodzi o poglądy filozofów europejskich, to jeden z najzdolniejszych przedstawicieli szkoły pitagorejskiej, Epicharmos z Kos, jeszcze w VI w. przed Chr., stwierdzając w zwierzętach bujne życie rozumowe, dopatrywał się w nich nawet zdolności artystycznych. Największy zaś pisarz tejże samej szkoły pitagorejskiej, *Filolaos,* podkreślał również w zwierzętach duszę i uczucie. Znakomity zaś odkrywca ducha, Anaxagors z Klazomene, utrzymywał nawet, że już rośliny są uduchowione, smucą się i radują, mają poznanie i umysł. Jak wiemy, badacze ostatniej doby dochodzą obecnie do podobnych wniosków.

Zasadniczo dla filozofów starożytnych człowiek sam był poprostu tylko najdoskonalszem zwierzęciem, stojącem na najwyższym szczeblu rozwoju na drabinie istnień. I tak: *Anaxagoras* nazywa człowieka „najmędrszem" ze zwierząt, *Sokrates* — „najpiękniejszem", *Platon* — „zwierzęciem, posiadającem ręce", a w pomnikowym swym djalogu p. t. „Timeusz" głosi Platon, że w zwierzętach i ludziach przebywa taż sama nieśmiertelna dusza.

Arystoteles, który przewyższył swych poprzedników swoją wiedzą przyrodniczo - historyczną, dopatruje się w duszy zwierzęcej właściwości i wartości duszy i rozumu ludzkiego. Dowodzi on, że dusza człowieka w dzieciństwie, w pierwszych etapach swego rozwoju, jest na poziomie duszy zwierzęcej i niczem się od tamtej nie różni (Historja Naturalna 8-ma księga). Podkreśla on tam, że jedyne „uspołecznione" zwierzęta — to mrówki, pszczoła i człowiek.

Zasadniczo Arystoteles uznaje 3 rodzaje duszy:

I-a to dusza roślinna — najniższa, wysila się jedynie na zdobywanie sobie pokarmów.

II-a to dusza zwierzęca — czująca. Ma wszelkie cechy roślinnej, prócz tego zdolność odczuwania wszelkich wrażeń, radości, cierpień.

III rodzaj duszy — to *ludzka — najwyższa. Dusza twórcza.* Ma w sobie wszelkie cechy duszy roślinnej i zwierzęcej, a prócz tego zdolność logicznego myślenia i zdolności twórcze. Dusza, najbardziej zbliżająca człowieka do Bóstwa.

Pierwszy pisarz ery chrześcijańskiej, Celzjusz, żyjący w drugiem stuleciu po N. Chr., dowodzi w swych pracach, że tak jak między organizmem ludzkim a zwierzęcym niema właściwie anatomicznie wielkiej różnicy, tak i „dusza" zwierząt nie-tylko nie stoi niżej od ludzkiej, ale często ją przewyższa.

Celzjusz, opierając się na przykładach, zaczerpniętych z naukowych obserwacji życia pszczół i mrówek, szeroko przez niego opracowanych, mówi: „Jeżeli ludzie myślą, że stoją o tyle wyżej od zwierząt, że są uspołecznieni, żyją w miastach, które sobie zbudowali, wydają prawa i uznają władzę zwierzchności — to mylą się w swej pysze. I pszczoły mają królewską władzę nad sobą, z którą cały ul się liczy, i one mają swoje osady, swoje rozbudowania, określony czas pracy, i to intensywnej; mają kary na leniwych i złych, prowadzą wojny, ponoszą klęski i odnoszą zwycięstwa, wymordowują zwalczonych".

Co do mrówek, Celzjusz ceni je i stawia bardzo wysoko za ich nietylko tak ogólnie znaną, przysłowiową pracowitość oraz cudowne organizacje mrowiskowe, ale za pewien sentyment, który cechuje wzajemny stosunek mrówek. One się bowiem, zwłaszcza w pracy cięższej, ogromnie wspierają. Silniejsze fizycznie pomagają słabszym od siebie przenosić np. ciężary i to niekoniecznie mrówki z tego samego mrowiska. Niestety! cechy tej na ogół ludzkość nie posiada! Następnie podnosi Celzjusz ogromny zmysł praktyczno - gospodarski mrówek.

Czuwają one bardzo nad swemi zapasami zimowemi i, gdy nagromadzone ziarnka zaczynają w cieple ich składów kiełkować, mrówki przebierają je. Odcinają niebezpieczne kiełki i oczyszczone w ten sposób ziarnka składają na osobne kopce, z których, jako mniej pewnych do przechowania, biorą sobie na pokarm najpierw, zostawiając zdrowe, nie porośnięte ziarnka na później. Następnie, porusza Celzjusz to, że mrówki mają swoje cmentarze, na których grzebią zmarłe.

„I jakąż różnicę widziałby ten, ktoby spojrzał z wysokości na ziemię, pomiędzy ludźmi i ich pracą z jednej, a pszczołami i mrówkami z drugiej strony" — mówi w końcu Celzjusz (Sr. Kind *„Teologja a naturalizm w czasach chrześcijaństwa średniowiecznego", Jena 1875 r.).*

Chrześcijanizm średniowieczny na tego rodzaju poglądy, jak Celzjusza, zezwolić nie chciał. Zwalczał je najsurowiej. I dusza zwierząt została skreślona, — tembardziej, że poglądy te poparł wtedy francuski filozof Kartezjusz, żyjący od 1596 — 1650 r., który, jak wiadomo, odmówił zwierzętom nietylko duszy, ale nawet kierowania się rozumem.

Dla Kartezjusza zwierzęta — to żywe maszyny, to automaty, działające pod wpływem zewnętrznych bodźców. Wprawdzie przyznaje Kartezjusz, że są fakty, gdy zwierzę postąpi lepiej i mądrzej od człowieka, ale toć i zegar ma w sobie maszynerję, określającą ściślej i nieomylniej czas, niż człowiek, który sobie dopiero czas podług zegara sprawdza i normuje, a przecież człowiek ma duszę, a zegar tylko maszynerję.

Poglądy Kartezjusza, popierane gorąco przez ówczesne prądy, przesiąknęły w umysły ludzkie i przesądziły sprawą. Teorja filozoficzna, odbierająca duszę zwierzętom, była dla zwierząt nietylko krzywdą, obniżającą ich wartość psychiczną, ale ona to spowodowała w następstwie szorstkie, ostre, nieludzkie często obchodzenie się z niemi.

Przytem, wobec takiego postawienia kwestji, o dociekaniach naukowych co do duszy zwierzęcej, o naukowych badaniach psychiki zwierząt, porównywaniu jej z ludzką, słowem o *„psychologji porównawczej"* nie mogło wtedy być mowy. Wszelkie próby, robione w tym kierunku, były narażone albo na lekceważenie i szyderstwo, albo wprost zabronione!

Coprawda, poglądy Kartezjusza obalał gorąco współczesny mu filozof Leibnitz, krańcowo od Kartezjusza różny w swym systemie filozoficznym, w którym nauczał *o szczeblach na drabinie organicznego rozwoju i o nieprzerwanym, ścisłym związku wszystkich istot żyjących, a zatem i ludzi, ze zwierzętami.*

Lecz Leibnitz był przedmiotem wielu napaści, aczkolwiek dowodzenia jego popierali uczeni tej miary, jak Tomasius, prof. niemiecki Bajer i później znacznie prof. Reklam (Duch i ciało), który mówi:

„Określenie „instynkt" u zwierząt powinno być zupełnie usunięte ze słownika ludzkiego. Kto pewnych przejawów u zwierząt nie umie sobie wytłumaczyć inaczej, jak tem nic nie mówiącem słowem *instynkt*, kto nie rozumie ich głębiej, nie umie sobie wytłomaczyć i naukowo badać, ani określać nie jest zdolny — niech się wogóle wyrzeknie zabierania głosu w tej tak ważnej dziedzinie, a płytkości swych poglądów i swego nieuctwa niech nie pokrywa tak wygodnem dlań określeniem, jak instynkt".

W miarę upływania czasu coraz częstsze i silniejsze protesty powstają przeciwko poglądom Kartezjusza. Szeregi przeciwników powiększają się. Linneusz, Buffon, G. F. Mejer w znakomitem swem dziele „Próby nowej nauki o duszy zwierząt" (Halle 1750) i wielu innych wypowiadają się przeciwko Kartezjuszowi.

Najpoważniejszym rzeczowym przeciwnikiem Kartejusza staje się w 1764 r. francuz Leroi.

Z zawodu leśniczy, dzięki swemu fachowi ma możność lata całe śledzić bieg życia, rozwój i obyczaje zwierząt. W znakomitej francuskiej Encyklopedji zaczynają się pojawiać jego prace, narazie podpisywane pseudonimem: *„fizyk norymberski"*. Pseudonim ten zabezpieczał go od prześladowań Sorbonny, z którą liczyć się musiał, a która duszy u zwierząt uznać nie pozwalała.

Tymczasem wieloletnie obserwacje dają Leroi obfity materjał naukowy, z którym narazie ostrożnie, później coraz śmielej występuje. Materjał ten, niesłychanie ciekawy, podkreśla i wykazuje właściwości psychiczne zwierząt i ich stopniowy rozwój. Opowiada on np. jak wilki zbierają się na walne narady, po których urządzają gremjalne polowania i napady; jak omawiają wspólne sposoby podstępów w zakresie swych działań wojennych, jak rozum tych zwierząt potęguje się w miarę nabytych doświadczeń... Że jest olbrzymia różnica w rozumie starego, doświadczonego już wilka lub lisa, a młodego. Że młode wilki lub lisy popełniają szereg fatalnych w skutkach dla nich omyłek z powodu swego niewyrobienia i bojaźliwości, czego nie dopuszczają się nigdy stare sztuki... i t. d.

Leroi odrzuca zupełnie pojęcie *„instynktu"*, a zastępuje je — *rozumem*. Przytem, co najciekawsze, dowodzi ściśle naukowo i niezbicie o dziedziczeniu nabytych w ciągu życia zdolności i właściwości i wykazuje, że to, co ludze (nie rozumiejąc z czem mają do czynienia) określają jako *instynkt w zwierzęciu*, jest w rzeczywistości następstwem wielu nabytych przyzwyczajeń i cech, przechodzących z pokolenia w pokolenie, a więc dziedziczących się i przejawiających w potomkach.

Podług Leroi, zwierzęta mają swoją *mowę*, którą doskonale się porozumiewają wzajemnie, nawołują, ostrzegają, wydają rozkazy, okazują gniew lub radość — mowę wprawdzie zupełnie obcą człowiekowi, ale niezbicie istniejącą.

W ślad za Leroi, znakomity przyrodnik Cuvier przeprowadza obserwacje nad wziętym do niewoli orangutangiem i stwierdza „wielki rozum, umiejętność kombinowania mózgiem, — mianowicie: przyswajania sobie pewnych pojęć i wyciągania z nich wniosków.

d. c. n.

Dr. St. Koźmian - Rejcher.

WIWISEKCJA

„Obowiązkiem państwa jest przestrzegać, aby dzikość i cynizm nie znalazły w niem przytułku; inaczej humanizm i praca stracą zupełnie swą wartość".

Najstraszniejszą postacią okrucieństwa względem zwierząt są doświadczenia naukowe i sekcje dokonywane na żywych istotach.

Wszystkim prawie znany *Schopenhauer* nie mógł myśleć o wiwisekcji bez najwyższego oburzenia.

„Kiedym odbywał studja w Gietyndze, powiada on, miałem sposobność bliżej się przypatrywać tym doświadczeniom, przekonać się, jak one bywają straszliwe, barbarzyńskie, a często bezpotrzebne. Jestem zupełnie przeświadczony, że środek ten bywa niezbędny w bardzo rzadkich tylko przypadkach. Dziś każdy medyk uważa się za uprawnionego do dręczenia i zamęczania zwierząt w najokrutniejszy sposób, niby w celu rozwiązania kwestji, których wyjaśnienie mieszczą już od dawna wszystkie podręczniki".

Skoro przytoczyłem zdanie Schopenhauera o wiwisekcji, niech mi wolno będzie posłużyć się i poglądami innych uczonych o tejże sprawie.

W badaniach swych nad fizjologją zwierząt domowych mówi prof. *Colin:*

„Te same, 30 razy powtarzane doświadczenia bardzo często dają 70 różnych rezultatów, pomimo, że stworzenia, według wszelkiego prawdopodobieństwa, znajdowały się w jednakowym stanie znieczulenia".

Słynny *Dr. Roché*, członek akademji medycznej w Paryżu, zwracając się do swoich kolegów, pytał:

„Czyż nie widzimy, że wnioski, otrzymane z wczorajszej operacji nad żywymi zwierzętami, zastosowane dzisiaj w praktyce nie wydają najmniejszych rezultatów".

Ludzie nauki są zdania, że doświadczenia wiwisekcyjne mogą tylko wtedy mieć doniosłe znaczenie, jeżeli będą zastosowane do tego rodzaju stworzeń, które były przedmiotem tortur. Doświadczenia, które mają być zastosowane do rodzaju homo sapiens, należy dokonywać tylko nad ludźmi.

Wiwisektor *Goltz* ze Strasburga przyznaje, że rzadko się zdarza, aby w sprawie fizjologji mózgu dwaj fizjologowie byli jednakowego zdania.

Wiele okrucieństwa mieści w sobie fakt, że prof. *Magendie* w Paryżu zamęczył 4.000 psów w celu wykazania słuszności swych naukowych dowodzeń i że następnie pod nożem wiwisekcyjnym położył drugie 4.000 psów, aby się usprawiedliwić, że pierwsze 4.000 operacji sprowadziły go na zupełnie mylną drogę.

Prof. *Schiff* z Genewy, który w przeciągu lat 20 własnoręcznie pokrajał 14.000 żywych psów, przyszedł w końcu do przekonania, że niema potrzeby robić doświadczeń na żywych stworzeniach. Tenże prof. powiada, że dość jest przeznaczone do operacji zwierzę zabić, potem zaś organy pomieszczone w szklanych naczyniach pobudzać przy pomocy galwanizmu, i w ten sposób jaknajdokładniej można na nich jeszcze obserwować objawy życiowe.

Ciekawe dane o wiwisekcji znajdzie czytelnik w pracy D-ra *Gützlaffa* „Schopenhauer über die Thiere und den Tierschutz" i d-ra Gryzanowskiego „Die Ansprüche der Physiologen".

Zdania fizjologów o wiwisekcji są rozmaite. Rozbieżność zdań jest dowodem, że korzyść naukowa z wiwisekcji też nie jest wielka.

Znany wiwisektor, *Dr. Reid,* na łożu śmierci przyznał się swoim kolegom, że męki ostatnie uważa za karę Bożą, ponieważ okrutne jego doświadczenia miały na celu badanie nerwów języka kilkuset na śmierć przez niego zamęczonych psów. *Dr. Rejd,* nawiasem wspominam, umarł na raka języka.

Dyrektor szkoły czeskiej w Alfort we Francji, gdy mówił o wyniku prac wiwisekcyjnych, zawsze zapytywał:

„Ażaliż z pomiędzy opisanych doświadczeń znajdzie się jedno, któreby przyniosło ludziom korzyść, mogącą zrównoważyć wyrządzone stworzeniom męki? Bez wahania przeczę temu!".

Cuvier w jednym ze swych listów do przyjaciela o znaczeniu anatomji porównawczej wyraził się:

„Natura dała nam możność porównania tego, czego doświadczenia nad żywem ciałem dokonać nigdy nie są w stanie".

Dr. Hoggan, anglik, wyszedłszy ze sali wiwisekcyjnej, powiedział:

„Niczem nie mogą być usprawiedliwione okrucieństwa, jakie się dzieją w tych niby przybytkach nauki (sala wiwisekcyjna), gdyby nawet przez ich skasowanie sama nauka i ludzkość cała przepaść miały".

Fr. Pover Cobb mówi:

„Dni nasze są policzone, a nie napadając wielce na medycynę, powiedzieć śmiem ,że ta wiele uczynić nie jest w stanie, aby je przedłużyć".

Wiwisekcja, jako środek doświadczalny, nie dała nauce takich dodatnich rezultatów, jak straszne i bolesne były męka i śmierć tych biednych zwierząt. Nie dziwmy się, skoro ogół ludzi ma wzgardę dla wiwisekcji, bo ani rezultatów, ani ocalenia ludzkości od chorób nie przyniosła. Słusznie dlatego wyraził się pewien naturalista mówiąc:

„Jeżeli życie moje w czasie choroby w inny sposób uratowanem byćby nie mogło, jak tylko przez ohydne torturowanie zwierząt, to nie dopuszczę nawet na dziesięć kroków do siebie medycyny ze wszystkiemi jej lekarstwami"

A. Geilke.
Łódź.

SŁOWO DO PRZYJACIÓŁ, OBROŃCÓW ZWIERZĄT

Dowiedzione jest, że ludzie niechętnie słuchają prawdy, chyba że zawiera ona pochlebstwa. Wtedy słucha się jej tem chętniej.

Kto mówi ludziom prawdę, ten zawsze ma licznych przeciwników i wrogów — rzadko przyjaciół. Taki już jest porządek rzeczy. Z tego powodu my, obrońcy zwierząt, mówiący ludziom, że gnębienie żywych, bezbronnych stworzeń jest czynem nieetycznym, jest kryminalnem przestępstwem, za które należy się im kara, mamy bardzo licznych przeciwników. Niewolno nam jednak cofać się, nawet jeżeli atmosfera koło nas staje się gorąca.

Potrzeby naszej interwencji społecznej w tej mierze dowodzą wielkie cierpienia zwierząt i ohydna brutalność ludzi w stosunku do nich.

Tylko ludzie ograniczeni mogą zadawać zwierzętom ból i stawiać w wątpliwość ich prawo do egzystencji. Im głośniej powołuje się człowiek na prawa, które zresztą sam sobie nadał; im bardziej gnębi zwierzę, obdarzone takiemi samemi uczuciami, jak i my; im więcej wykazuje swej brutalności, tem niżej stoi pod względem etycznym. Powiedziałbym nawet, że szkodzi on całej ludzkości, bowiem ochrona zwierząt jest zarazem ochroną ludzi i warunkiem ich wychowania etycznego, kierowanie się zaś jedynie „dobrem ludzkości" jest to hołdowanie i hodowanie egoizmu!

Ani wiek, ani wytrenowany mózg nie przyniosą chluby człowiekowi, choćby miał niewiem jak wielką głowę, jeżeli nie będzie on obdarzony również wielkiem sercem. Nie mogę szanować człowieka, którego współczucie dla ludzi nie jest rozwinięte w jednakowej mierze i względem zwierząt. Obrońcy zwierząt *„z zastrzeżeniami"* i ludzie, nie mogący zrozumieć naszych zasad, *nie są pełnowartościowymi ludźmi* w moich oczach. Wznieśli się oni bowiem zaledwie o jeden stopień tylko ponad brutalną masę.

Niema normalnego człowieka, który nie odróżniałby złego od dobrego. Dla spokoju naszego sumienia musimy propagować ochronę zwierząt, jako walkę ze złem.

Jeżeli propaganda ta nie ma być jałowa, to przestępca powinien doznać surowej kary właśnie ze względów wychowawczych. Większość ludzi nie uznaje takiego postępowania — nie mają oni jednak racji; gdyby bowiem przyjąć ich zasadę, to zarówno kościół nie mógłby straszyć grzeszników piekłem, jak i prawodawca nie mógłby przepisywać kar. Szczęśliwie jednak stopniowo przesącza się już w umysły ludzkie

pojęcie, że zwierzę właśnie dlatego, że samo jest bezbronne — ma prawo do opieki. Polskie prawo ochrony zwierząt uznało tę zasadę w całej pełni i nakazuje ścigać okrutników oraz wydawać ich w ręce sprawiedliwości.

Osoby, które biorą w obronę brutali, są ograniczone umysłowo; nie są też przyjaciółmi zwierząt, choćby się za takich podawali. Poglądy nasze dzielą oni jedynie z tchórzostwa życiowego, przystrajając się tanim kosztem w fałszywy humanitaryzm i pozorną szlachetność uczuć. Są to ludzie, którzy niezależnie od swojego wieku nie zgłębili zasady, że etyka jest jedna i musi być kompletna. Bezwzględnie główną przyczyną tego jest ograniczenie umysłowe i egoizm. Poglądy, że okrutnik na skutek wymierzonej mu kary tembardziej, przez zemstę, dręczyć będzie zwierzę, jest również naiwne. Taki człowiek, jeżeli nie ulegnie karze, czynić będzie swoje zło w dalszym ciągu — *kara jest zawsze czynnikiem wychowawczym.*

Zresztą, jeżeli zbliska i dokładnie zanalizujemy przyczynę obojętności lub brutalności ludzkiej względem zwierząt, to dojdziemy zawsze do prostego wniosku, że gra tu jedynie rolę zła wola, a nie konieczność, i, logicznie biorąc, musimy taki przejaw złej woli ludzkiej osądzić jako niegodziwość i złość. Z samego już tego względu nie wolno nam pobłażliwie patrzeć na to i stawać w obronie złości ludzkiej. Im łagodniej zresztą będziemy traktować przejawy obojętności i okrucieństwa, tem gorzej będzie stała sprawa zwierząt. Każde ustępstwo wydawałoby nam świadectwo braku poczucia sprawiedliwości.

Tylko kary, niestety, hamują przestępców w ich czynach! Wychowanie zdziałało dotąd tak niewiele!... Na gruby pień — trzeba mocnej siekiery. Smutne też jest, że wielu ludzi traktuje oględnie złość ludzką, jeżeli nie jest ona skierowana przeciwko nim samym; a tylko gdy osobiście jej doświadczą, to wtedy zemsta staje się dla nich słodką! A czyż człowiek nie powinien być jednakowo sprawiedliwy niezależnie od okoliczności?! Bronić brutala, który znęca się nad zwierzętami, jest nielogiczne, niebezpieczne i szkodliwe zarówno dla ludzkości, jak i dla dręczonego świata zwierzęcego.

Trzeba stanowczo wynaleźć nowe drogi dla ochrony zwierząt i wychowania humanitarnego ludzi. Dawne bowiem, pomimo rozwoju umysłowego ludzkości, zawiodły! Ale kto je odnajdzie? Czy lekarze, jako wiwisektorzy? Czy etycy? Samą dobrocią i propagandą osiągnięto dotąd śmiesznie mało.

Chronić zwierzęta musimy, niezależnie od tego, czy przyznamy im prawa czy nie, z następujących prostych, a pomimo to wciąż jeszcze mało znanych ludziom powodów:

1. ponieważ zwierzęta tak samo odczuwają ból i złe traktowanie, jak i my ludzie, i

2. ponieważ idea ochrony zwierząt wciąż jeszcze do umysłu ludzkiego nie dotarła, pomimo że ludzie tak się rozumem swym chełpią.

Przyjaciele, obrońcy zwierząt! Kroczmy dalej stanowczo i odważnie po raz obranej drodze! Wdzięczności nie żądamy! Nie ze względów osobistych stajemy w obronie niemych stworzeń!... *Pragnieniem naszem jest wykorzenić na świecie wszelki ból,* co stanowi doniosłą wartość naszej idei!

Słowa te podyktowało mi moje sumienie...

POLEMIKA Z TOW. OPIEKI NAD ZWIERZĘTAMI

Dnia 4 czerwca 1930 r.

Do Redakcji
„ŚWIATA ZWIERZĘCEGO"
w miejscu.

Zarząd Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie na zasadzie przepisów prasowych uprasza w związku z artykułem w „Świecie Zwierzęcym" z dnia 1 marca 1930 r. Nr. 3 pod tytułem „Polska Liga Przyjaciół Zwierząt a Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Warszawie" o odwołanie na tem samem miejscu jako niezgodnych z prawdą:

1. Polska Liga Przyjaciół Zwierząt wyłącznie nie reprezentowała Polski na Międzynarodowym Kongresie Opieki nad Zwierzętami w Wiedniu, gdyż i T-wo Opieki nad Zwierzętami Rzeczypospolitej Polskiej brało udział w tym kongresie przez swego delegata, Radcę Ministerjalnego p. Inż. Tadeusza Niedzielskiego. (Przyjaciel Zwierząt Nr. 6—8 1929 r.).

2. Pierwszą instytucją, która założyła własną lecznicę dla zwierząt z udzielaniem bezpłatnych porad dla zwierząt niezamożnych właścicieli, było Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, a nie Liga Przyjaciół Zwierząt, ponieważ T-wo Op. n. Zw. już w 1899 roku posiadało taką lecznicę, następnie w 1919 (przy ul. Młocińskiej) i obecnie prowadzi we własnym lokalu przy ul. Wiejskiej Nr. 18 (założoną w 1928 r.). Przyjaciel Zwierząt Nr. 4 z 1899 r., Nr. 1 z 1920 r.

3. Oddział T-wa w Brześciu nad Bugiem funkcjonuje w dalszym ciągu do dnia dzisiejszego jako placówka Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami Rzeczypospolitej Polskiej i o likwidacji jego nic nam nie jest wiadome.

Sekretarz *F. Zawadzki.* Prezes *M. Radwan.*

— Umieszczając powyższą replikę Tow. Op. nad Zw. nie tyle na zasadzie prawa prasowego ile przez lojalność dla obu stron, redakcja daje jednocześnie odpowiedź prezesa P. L. P. Z. p. Romualda Mandelskiego, autora artykułu umieszczonego w Nr. 3, 1930 r. „Świata Zwierzęcego", który replikę tę wywołał.

„Że p. Radca Ministerjalny, Inż. Tadeusz Niedzielski był delegatem na Międzynarodowym Kongresie Tow. Ochrony Zwierząt w Wiedniu, z ramienia Tow. Op. nad Zw. w Warszawie, dowiadujemy się dopiero z powyższego listu, gdyż ani samo Towarzystwo, ani nazwisko delegata nie figurowało na liście delegatów, biorących udział w Kongresie. liście oficjalnej,

w Wiedniu wydanej; delegat T-wa na Kongresie oficjalnie nie występował, żadnem przemówieniem, chociażby powitalnem, obecności swej nie podkreślił, i delegacja P. L. P. Z., która czynny udział brała w Kongresie, nie miała przyjemności z nim na Kangresie się zetknąć.

Co do lecznicy, założonej w Warszawie w 1899 r. to założył ją „Warszawski Oddział Rosyjskiego T-wa Opieki nad Zwierzętami", a nie Tow. Opieki nad Zwierzętami Rzeczypospolitej Polskiej. Okres powstania Państwa Polskiego obecnego liczy się od 11 listopada 1918 r. Przed wojną egzystował również np. rosyjski Czerwony Krzyż, a Polski Czerwony Krzyż obchodził jednak w roku ubiegłym pierwsze dziesięciolecie swej pracy, nie biorąc za podstawę czasu swego istnienia tamtego poprzednika; czas już najwyższy, aby Tow. Op. nad Zw. Rzeczypospolitej Polskiej nie łączyło swego istnienia z moskiewskim oddziałem.

Lecznica założona w 1919 r. przy ul. Młocińskiej egzystowała zaledwo kilka miesięcy. W chwili powstawania P. L. P. Z. w Warszawie lecznicy bezpłatnej dla zwierząt nie było. Było to pierwszą wielką troską Zarządu świeżo powstałej Ligi, ażeby brakowi temu zaradzić, i wielkim wysiłkiem stworzył normalnie funkcjonującą po dzień dzisiejszy lecznicę przy ul. Krak. Przedmieście 10. Została ona otworzona dn. 15 czerwca 1927 roku. Dopiero w rok po otwarciu lecznicy Ligi Tow. Opieki nad Zw. otworzyło swoją lecznicę przy ul. Wiejskiej. Widzieliśmy w tem dowód emulacji ze strony T-wa, co mu się chwali.

Na terenie pracy w dziedzinie ochrony zwierząt, jak i w każdej zresztą dziedzinie, o wartości pracy i jej placówki rozstrzygają nie słowa, przechwałki, wyliczanie 76 oddziałów, których istnienia nie można wykazać — *a czyny.* Mało słów a dużo czynów — to są jedyne owocne rezultaty opieki nad zwierzętami.

Romuald Mandelski,
Prezes Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt.

Adam Wodziczko.
Poznań.

NOWE ROZPORZĄDZENIE O OCHRONIE ROŚLIN I ZWIERZĄT W PRUSACH

(WYDANE 16 GRUDNIA 1929 R.)

Stan spraw ochrony przyrody w Prusach budzi u nas szczególne zainteresowanie z rozmaitych powodów.

Naprzód zbliżone warunki fizjograficzne znacznych obszarów Polski stwarzają w dziedzinie ochrony przyrody *podobne zagadnienia,* a długie wspólne granice nasuwają potrzebę wzajemnego porozumienia i uzgodnienia przepisów ochronnych pod niejednym względem, aby wyniki ich były dodatnie.

Następnie *organizacja* ochrony przyrody w Prusach słusznie uchodzi za wzorową i funkcjonuje znakomicie, zwłaszcza, o ile idzie o współdziałanie władz rządowych, instytucji samorządowych, czynników społecznych i naukowych.

Wreszcie *nasze Pomorze,* dawne Prusy Zachodnie, stały się dzięki pracy Conwentza *kolebką ruchu ochrony zabytków przyrody,* skąd ruch ten rozszedł się po całym świecie kulturalnym, umiejętnie wyzyskany przez rząd pruski dla propagandy Prus, jako promieniującego na świat cały ośrodka kultury.

Dziś jest wprost naszym obowiązkiem narodowym nie pozostawać w tyle w pracy nad ochroną charakterystycznych rysów i zabytków przyrody tej ciężko doświadczonej ziemi, która jest kamieniem węgielnym naszej istotnej niezależności, gdyż zaniedbania na tem polu szkodzić nam mogą również pod względem politycznym.

Prusy dopiero od r. 1920 posiadają podstawę prawną dla rozporządzeń w zakresie ochrony przyrody. Ustawą z 8 lipca 1920 r. zniesiono § 34 ustawy o policji polnej i leśnej z 1880 r. w tym sensie, że „właściwi ministrowie i podległe im organa policyjne mogą wydawać zarządzenia celem ochrony roślin, gatunków zwierząt i rezerwatorów przyrodniczych", a nie tylko — jak było dotychczas — „ochrony roślin i zwierząt *pożytecznych* i tępienie *szkodliwych*".

Na tej podstawie wydali Ministrowie Oświaty i Rolnictwa w r. 1921 rozporządzenie, mocą którego poddano ochronie na całym obszarze Prus *szereg gatunków roślinnych i zwierzęcych.* Lista chronionych roślin obejmuje 14 pozycji, zaś *lista zupełnie lub częściowo chronionych zwierząt 60* (p. „Ochrona Przyrody", z V, str. 72 — 76). W dalszym jednak ciągu władze administracji ogólnej, na terenach swej działalności, poczęły chronić coraz to nowe gatunki roślin i zwierząt.

Praktyka ta ideę ochrony przyrody szeroko spopularyzowała. Nowe rozporządzenie Ministrów Oświaty i Rolnictwa w sprawie ochrony zwierząt i roślin, wydane dn. 16 grudnia 1929 r. reguluje jednolicie ochronę gatunków na całym obszarze Prus.

Rozporządzenie to wyróżnia się wybitnie od wszystkich dotychczasowych przez swój życiowy, ludowy charakter. Sformułowane jest jasno, treściwie, w języku ogólnie zrozumiałym, a poszczególne postanowienia ujęte są w sposób możliwie praktyczny, by ich przestrzeganie mogło być łatwo kontrolowane.

W zakresie *ochrony roślin* lista obejmuje 30 pozycji. Są to wszystko rośliny znane, okazałe, przeważnie o pięknych kwiatach, zagrożone przez handlarzy czy wycieczkowiczów. Żadnych rzadkości, żadnych gatunków drobnych, niepozornych, znanych tylko botanikom, które skutecznie mogą być chronione jedynie terenowo, wraz z całym zespołem. Obecnie podlegają ochronie gatunkowej: 1. *Pióropusznik strusi,* 2. *Języcznik,* 3. *Podrzeń żebrowiec,* 4. *Długosz*

królewski, 5. wszystkie *Widłaki*, 6. *Ostnica pierzasta*, 7. *Lilja złotogłów*, 8. wszystkie *Storczykowate*, 9. *Woskownica europejska*, 10. *Zawilec leśny*, 11. *Pełnik europejski*, 12. *Orlik zwyczajny*, 13. wszystkie *Sasanki*, 14. *Miłek wiosenny*, 15. wszystkie *Tojady*, 16. *Parzydło leśne*, 17. *Dyptam jesionolistny*, 18. *Wawrzynek wilcze - łyko*, 19. *Mikołajek nadmorski*, 20. *Bagno zwyczajne*, 21. *Naparstnica zwyczajna i N. żółta*, 22. wszystkie *Goryczki*, 23. *Kupalnik górski*, 24. *Dziewięśsił bezłodygowy*, 25. *Chaber górski*.

Nadto chronione są części podziemne następujących roślin: 1. *Konwalja majowa*, 2. *Przebiśnieg pospolity*, 3. *Śnieżyca wiosenna*, 4. *Przylaszczka trzyłatowa*, 5. wszystkie *Pierwiosnki*.

Ochrona zwierząt również ujęta jest pod kątem praktycznej wykonalności.

I tak np. zamiast długich list chronionych bezwzględnie i okresowo *ptaków* (ponad ustawę łowiecką), których nawet myśliwi często nie umieli wyróżniać, chronione są obecnie *wszystkie* rodzime *wolno żyjące gatunki ptactwa*, z nielicznemi tylko wyjątkami.

Wyjątki te, to z jednej strony gatunki łowne, które uprawnionym do polowania wolno w określonych miesiącach zabijać, z drugiej zaś pospolite t. zw. „szkodniki". Jednak również te „szkodniki", jak jastrzębie, krukowate, czapla siwa, perkoz dwuczubny, korzystają z pewnej ochrony, gdyż *nie wolno ogłaszać konkursów i wyznaczać premij za ich tępienie*. Pozatem nie wolno ptaków chwytać w nocy, przy pomocy potrzasków, w których mogłyby się męczyć, lepu i t. d.

O ile ptaki chronione są generalnie, to z pośród innych grup zwierzęcych podlegają ochronie tylko nieliczne gatunki.

Więc z *ssaków* chronione są: *żbik, kuna leśna, łasica norka, orzesznica, popielica, bóbr, liś; z gadów: żółw; z owadów: apollo i jelonek*.

Troskę o resztę istot żyjących zostawiono szkole, prasie, stowarzyszeniom, uważając, że nie można kłaść na barki tylko władz policyjnych obowiązku kontroli, do której wykonywania nie byłyby zdolne z braku odpowiednich wiadomości fachowych.

Nie sposób wyszczególniać w krótkim artykule dalszych jeszcze cennych postanowień tego doniosłego rozporządzenia.

Należałoby dążyć, aby rozporządzenia naszych władz były równie praktyczne życiowo i powszechnie zrozumiałe, bo dzięki ciągłym redukcjom godzin przyrodniczych w naszych szkołach nieznajomość rodzimej przyrody staje się wprost zastraszająca.

Przedewszystkiem jednak musimy domagać się od Rządu i Sejmu *ustawy o ochronie przyrody*, lub przynajmniej nowelizacji obowiązujących ustaw o policji polnej i leśnej, aby można było skutecznie chronić ginące piękno i zabytki przyrody polskiej.

(„Czasopismo Przyrodnicze", zeszyt III—IV, r. 1930)

Jan Białasz.

W OPARACH KRWI

Niedziela, dzień odpoczynku ludzi, zwierząt i rzeczy, święto pracy, więc ulica pozamykała swoje sklepy, a wszystko, co się dusiło przez sześć dni w biurach, pracowniach i fabrykach wylega na chodniki, nie tyle odetchnąć powietrzem, ile pokazać się w nowym moderunku, lub zjeść świąteczną potrawę w „barze", ustronnej jadłodajni, czy restauracji. W oknach handelków gastronomicznych zwracają uwagę smakoszów pieczone szczątki doczesne ptactwa, obdarte z barwnych szat, bez głów i nóg, ułożone w tragicznych pozach bezruchu, wśród zielonych sałatek i czerwonych marchewek. Tu chude kurczę wzbudza uczucie litości, tam krab szkarłatny, męczennik, żywcem ugotowany, owdzie prosię z pustemi oczodołami leży załośnie na długim półmisku, jak wymowny dokument ludzkiego wyuzdanego apetytu, wiecznie poszukującego nowych wrażeń. Wdzięczą się przez wielkie szyby najwymyślniejsze potrawy i potrawki, budząc uśpiony smak, jeden z najniższych ludzkich instynktów, który dla dogodzenia swoim popędom niczego nie oszczędza.

W dziesiątkach tysięcy zakładów odżywczych nagromadzono nieprzebrane zapasy mięsa, a w odpowiednich pomieszczeniach czekają niechybnej śmierci rozliczne gatunki zwierząt, od indyków do małych kurcząt, od wielkich ryb do ostryg. Co chwila z klatki czy basenu ubywa jedna — dwie ofiary, żeby dać gardło za winy niepopełnione, bo takie ludzkie prawo kaduka. Nie okupi życia kura, że znosi w bólu jajka długie lata i obdarza człowieka czystym, pożywnym, smacznym pokarmem; nie uniknie śmierci gęś, dając corocznie wydzierane w bólu pierze, ani kaczka, choć sama się żywi w kałuży, ani zając, ni kuropatwa, tembardziej zaś zwierzęta grubszego kalibru, jak woły, świnie, cielęta i t. p. hodowanego na mięso.

Przenieśmy się myślą na Pragę, gdzie część ulicy Namiestnikowskiej poza kościołem św. Florjana zajmuje rzeźnia miejska do uboju rogacizny i nierogacizny. I tu świętują do wieczora, lecz z nastaniem zmroku, gdy zaczyna się krwawa orgja, szalejąca do piątku, zapełniają jezdnię furgony rzeźnicze, wśród których kręcą się brudni, uwalani w krwi i błocie woźnice, przeważnie żydzi, bo cały ten krwawy proceder prawie wyłącznie w ich rękach spoczywa.

W podwórze mniejsze rzeźni wjeżdża ogrodzona platforma, zapełniona szczelnie stojącemi cielętami, które podwożą do rampy i wpędzają je prosto do rzeźni, napełnionej oparami ciepłej krwi, buchającej strumieniami z uśmierconych wieprzów.

Trzeba widzieć to przemiłe, niewinne, pełne ujmującej prostoty stworzenia, o dużych łagodnych oczach gazelli, jak bez oporu, z ufnością wchodzą do przybytku kaźni, jak naiwnie wąchają narzędzia śmierci i krew swoich poprzedników. Niebawem kładą każde nawznak w rodzaj koryta rzędem, i po upływie

pewnej chwili, uprzywilejowane indywidua — rzezacy, nacinają im gardła z sadystyczną powolnością, a cielęta rzucają rozpaczliwie w próżni nogami, jak upadłe na grzbiet chrabąszcze, zalewając krwią obficie asfaltową podłogę. Gdy ustaną ruchy śmiertelne, kładą je na kozły drewniane, pokryte grubą warstwą brudu, rozcinają brzuchy i grzebią w gorących wnętrznościach, wyrywając bijące serca, obdzierając ze skóry i nadymając mięso brudnemi, zaplutemi wargami.

Większą część hali zajmują wędliniarze, poświęcający się ubojowi świń, zwierząt cieszących się ludzką pogardą. Wjechała właśnie wysoka platforma, naładowana temi pogardzanemi zwierzętami, i zatrzymała się na środku podwórza, a gdy przystawiono prymitywny „pomost" o karkołomnej pochyłości, zaczęto je spychać na bruk, grzmocąc po łbach kijami, kopiąc po ryjach wielkiemi batami. Już niejeden ciężki etap przeszły, niektóre mają nogi połamane czy zwichnięte, więc nie mogą się zbyt prędko ruszać, co

moobrony. Rade, nie rade muszą się poddać smutnemu przeznaczeniu i prawu siły człowieka.

Gdy rozejrzą się należycie i wciągną w nozdrza zapach krwi, jedne drętwieją z przerażenia, inne drżą febrycznie. Niezadługo każdej sztuce zakłada się na rogi pętlę z postronka, a drugi koniec przewleka przez kółko żelazne, umocowane w asfaltowej podłodze, i ciągnie sznur dopóty, aż łeb wołu zniży się do 30 cm. od asfaltu; wówczas przywiązuje się postronek do kółka, co zmusza zwierzę uklęknąć, a robotnik korzysta z tej pozycji i przewraca je na bok. Gotowe.

Z drugiem i dziesiątem powtarza się ściśle to samo.

Gdy wszystkie zwierzęta już leżą powiązane, wtedy kilku ludzi, którzy już dawno starli ze swego czoła piętno człowieczeństwa, zbliża się do powiązanych zwierząt, przygląda im się zimno, wreszcie jeden z nich przykłada bez pośpiechu do gardła ofiary długi nóż i od rękojeści ciągnie powoli do końca, tylko raz — rytualnie. Reszta czyni to samo.



wprawia katów w szał wściekłości. O ile świeci nieobecnością ktoś z urzędników rzeźni, albo „Ligi", ciągną takie bezwładne ofiary za ogony, za nogi, za uszy na ostatni etap — na śmierć. Zawloką wreszcie ten półmartwy kawał mięsa za żelazne wrota rzeźni, a często i na podwórzu wymierzą kilka silnych ciosów maczugą, równocześnie zaś jeden z młodzieńców, uwijających się po hali z zakrwawionemi nożami w zębach, zanurzy głęboko w sercu zakrzywiony nóż i buchnie krew, jak woda z pompy studziennej. Czy już zdążyła wytchnąć życie, czy nie, rzucają jej ciało do wrzącej kąpieli, a basen otaczają ludzkie hjeny. Ten weźmie mięso, ten słoniną, tamten flaki, inny zaś szczecinę. Taka tradycja

Ale przejdźmy na drugą stronę ulicy, gdzie zarzynają tylko woły i wyciśnięte z mleka krowy.

Hala kilkakrotnie większa, od stropu zwieszają się gęsto haki, błoki i różne urządzenia, służące do podnoszenia i przesuwania ciężkich ciał uśmierconej rogacizny. Już podczas wpędzania w tę śmiertelną matnię wiele zwierząt cofa się z przerażeniem i chce się ratować spóźnioną ucieczką, lecz cięty bat, kij, wreszcie zamknięta brama udaremniają ten akt sa-

Ów „rytuał" polega na tem, żeby nie zarżnąć zwierzęcia odrazu, prędko, lecz tylko krew puścić, która powinna się wylewać jaknajdłużej.

Z bólu, przerażenia i rozpaczy, oraz w poczuciu strasznej, a niezasłużonej krzywdy, wyrządzonej bydlęciu przez człowieka, chce ono ryczeć, lecz wskutek przeciętego gardła przy każdym wysiłku wydaje tylko żałosne, ochrypłe westchnienie, wywołujące obfite chluśnięcie krwią.

Widok nad wszelki wyraz wstrętny, bolesny i niezapomniany.

Woły, poddają się z większą rezygnacją uśmierceniu, lecz myślące krowy cierpią niewymownie, widząc, jak coraz mniejsza liczba krów dzieli ją od kata, jak zbliża się ten straszny, błyszczący nóż. Przewraca żałośnie rozumnemi, przerażonemi oczami, wodząc beznadziejnym, błagalnym wzrokiem po zimnych, okrutnych, zbójeckich twarzach rzezaków, handlarzy i aferzystów. Rzężenie umierających zwierząt, duszące opary z gorącej wody i ciepłej krwi, rozlanej obficie po całej hali, oraz wyziewy z wypruwanych wnętrzności przesycają powietrze, a nieustanny szwargot, dzikie krzyki i przekleństwa zlewają

się w piekielny akord szatańskiego sabatu, czy jakiegoś ponurego, niesamowitego misterjum, godnego epoki kamiennej dzikich małpoludzi, lubujących się w krwawych orgjach.

Ten wstrętny obraz dostatecznie przekonywa myślącego widza o poziomie „kultury“ i „cywilizacji“ naszych czasów.

Dla kogo się zabija te niezliczne tysiące niewinnych ofiar?

Odpowiedź ścisła i logiczna może być tylko jedna: *Dla tych, którzy jadają mięso.*

Więc kto chce być w porządku z własnem sumieniem i pragnie uważać się za wyższy gatunek człowieka, ten powinien *nie jadać mięsa.*

Jan Bończa.

NA ŚMIERĆ (Z CYKLU „W MOCY CZŁOWIEKA”)

Dokończenie.

Czoło pochodu otwierał olbrzymi, czarny buhaj o krótkich, prostych rogach, którego ród wywodził się od szlachetnych, dobrotliwych mieszkańców nizin flamandzkich. Flamandczyk kroczył pewnie i statecznie, obojętny na wszystko, co się działo za nim, nieczuły na złą dolę, która, jak owad zjadliwy, przywarła do jego towarzyszy. Gładkie jego lędźwie pokryte były lśniącą jedwabistą sierścią, mięśnie ud i potężnego fałdzistego karku grały rytmicznie przy każdem stąpnięciu. Rodowód zwierzęcia wypisany był wyraźnie w całej jego posągowej postaci.

Prowadzili byka na grubych mocnych łańcuchach dwaj dosyć chuderlawi poganiacze, ufni snać w zbawcze działanie deski, którą przywiązano do rogów zwierzęcia, aby mu zasłonić oczy. Zresztą sam ekonom powiedział, że buhaj jest „łagodny, jak dziecko“. Istotnie, niedawny król obory, przewodnik i pan kilkudziesięciu oddanych sobie niewolnic, pogromca kilkunastu młodych byczków, które niebacznie chciały wejść w jego prawa, szedł zupełnie posłusznie, może oszołomiony wypadkami ostatnich dni i tą oto podróżą, która w jego wnętrzu budziła jakieś mętne i przykre przeczucie.

Nagle buhaj podniósł swój olbrzymi łeb i zaczął, wietrząc, wciągać powietrze. W nożdrza wpadł mu jakiś dobrze znany i nadewszystko miły zapach. Przez pusty prawie plac na krańcach miasta, na którym teraz znalazło się stado, szedł, z wiatrem, starszy już, dostatnio odziany jegomość, w butach z cholewami, w krótkiej, zgrabnej kurtce i czapce futrzanej. Za rękę wiódł chłopaka może dziesięcioletniego, który ciekawie przypatrywał się bydłu.

— Patrz, tatusiu, — zawołał nagle chłopiec — to taki wół, jak nasz „Panicz“.

— E, zdaje ci się, — rzekł wymijająco starszy. — Dużo jest wołów podobnych do naszego bydła.

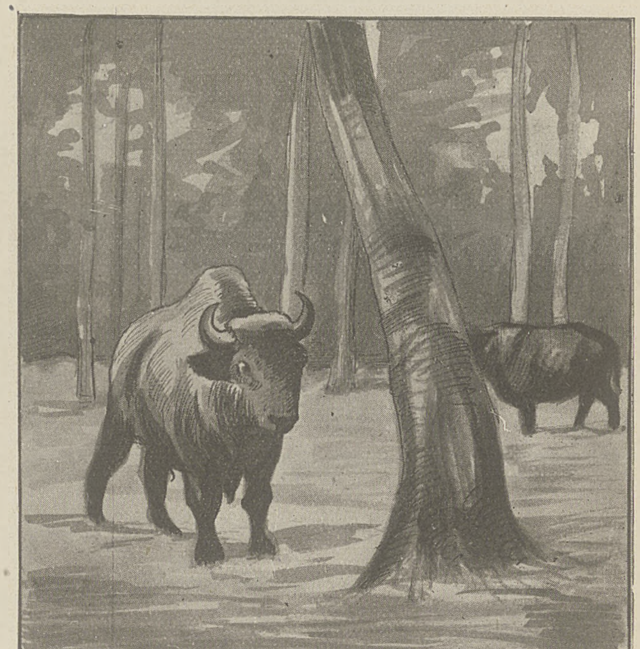
Stado zbliżyło się jeszcze i flamandczyk stanął nagle, strzygąc uszami: ten wiatr i ten głos!...

W tej chwili chłopiec wyrwał rękę z dłoni ojca i, rzuciwszy się naprzód zawisł na szyi buhaja, przyciskając twarz do aksamitnej sierści karku, który nigdy nie zaznał jarzma.

— Panicz, Panicz — wyrwało się szlochem z piersi dziecięcej.

A potężny zwierz ocierał swój ogromny łeb o wątłe ciałko dziecka i potrząsał nim, by pozbyć się grubej deski, co mu przeszkadzała w pieszczocie.

Powstało niesłychane zamieszanie. Chłopca, którego z trudem udało się oderwać od jego ulubieńca, płaczącego głośno odprowadził pośpiesznie ojciec. Ale Panicza nie można było ruszyć z miejsca. Głuchy na nawoływania zgonników stał jakby w ziemię wrosły, potrząsając łbem, aby zrzucić deskę, uprzykrzoną, zasłaniającą mu widok. Zaryczał głucho i groźnie. Jakby się grzmot gdzieś pod ziemią przewalił. Za nim stanęło całe stado; tamując ruch, cisnąc się na chodniki, włażąc aż pod bramy domów, ku przerażeniu kobiet i dzieci.



„Panicz“ nie pojmował, co się stało. Przed chwileczką było tuż przy nim coś tak znanego i miłego, jak obrok codzienny. Wprawdzie nie mógł, z powodu utrapionej deski, ogarnąć okiem całej postaci, ale przecie dotknął jęzorem ciepłej szyi, jak zawsze to robił na znak zadowolenia i dobrotliwej przyjaźni. Zdawało mu się przez chwilę, że wraca cała bujna przeszłość, że zaraz wprowadzą go do czystej, ciepłej obory, że znów na swym lśniącym karku poczuje dłoń znaną, a inne, malutkie rączyny podadzą mu kawałek marchwi, jego ulubiony przysmak. Tymczasem przepadło gdzieś wszystko bezpowrotnie, a natomiast wszczął się dookoła niego nieopisany zgiełk. Zatamowany na czas jakiś ruch uliczny wezbrał potężną falą, całą siłą uderzył w zaporę i, przerwawszy ją, przewa-

lił się przez sam środek stada. Bydło rozpierzchło się na wszystkie strony, zgonnicy krzyczeli, biegając po placu jak opętańcy i usiłując daremnie zebrać je w gromadę. A sprawca całego tumultu, Panicz, stał wparty racicami w ziemię, jakby tam wrósł już na zawsze. Opiekunowie jego ciągnęli go i popychali, usiłując to głosem, to gestami zachęcić go do porzucenia posągowej postawy. Wszelako, pomni rady ekonoma, udzielonej im jeszcze na wsi, nie śmieli go uderzyć.

Szkoda, że ostrzeżenia tego nie słyszał główny przedsiębiorca bydlęcego „geszeftu". Ten energiczny i nerwowy człowiek, nie mający czasu na prowadzenie zbyt długich pertraktacji z lada narowistym bykiem, zastosował sumaryczne postępowanie, praktykowane stale w takich wypadkach. Podniósł rękę, uzbrojoną w kij sękaty, który też natychmiast spadł na nietknięty dotąd nigdy batem kark Panicza.

Od tej chwili wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybkością ku ostatecznemu swemu rozwiązaniu. Jeden z ludzi, najbliżej stojących buhaja, zatoczył w powietrzu piękną hyperbolę i legł opodal, krwią zalany. Drugi, również uderzony rogiem, dostał się pod racice zwierzęcia, które przeszło po nim jak huragan, miażdżąc mu brzuch i klatkę piersiową. Panicz pędził na oślep przed siebie, rozjuszony, straszny i piękny w swym gniewie, z odsadzonym ogonem i nisko, aż do ziemi spuszczoną głową. Jednem uderzeniem zwalił latarnię i zarazem pozbył się zasłaniającej mu oczy deski, która rozpadła się na drzazgi. Wraz ze swobodą patrzenia wróciła mu królewska postawa i dumna pewność siebie. Z głuchym rykiem stanął w pozycji bojowej, z nastawionemi groźnie rogami, ze wszystkiemi ścięgnami olbrzymiego cielska, naprężonemi, jak struny.

Nie było jednak komu go podziwiać. Placyk przedmiejski, zawsze dość odludny, obecnie był jakgdyby wymieciony. Tylko zmęczone bydło łaziło to tu to tam, puszczone niemal zupełnie samopas, gdyż handlarze obstąpili zagniewanego Panicza, trzymając się zresztą w przyzwoitej od niego odległości.

Co robić? Była to najpiękniejsza sztuka z całej partji, sztuka, jakiej nie znaleźć na warszawskim targu, i jaką tylko przypadkiem udało się odkryć w okolicy i po licznych zabiegach utargować. Zapłacono za niego majątek, a teraz wszystko mogło się zmarnować. Więc podsuwał się ostrożnie ten i ów zgonnik, ale pierwszy, który rękę wyciągnął po zwisający od rogów łańcuch, przeleciał ponad głowami innych i z rozpłatanym brzuchem upadł między krowy. Panicz nie znał żartów.

Zaczęto naradzać się coraz głośniej, obwiniać się wzajemnie i kłócić. Żeby jedno głupie bydlę, na rzeź pędzone, narobiło tyle nieszczęścia!

A tymczasem buhaj gotował się do nowego wypadu. Nie danem mu jednak było dokonać dalszych bohaterskich czynów. W chwili, gdy upatrzywszy jednego ze zgonników rzucił się naprzód, dla pomszczenia doznanej zniewagi, powaliła go celna kula z broni służbowej posterunkowego, który przyjechał konno galopem na wieść o rozgrywającej się w tej stronie miasta zaimprowizowanej walce byków. Litościwa jego kula uchroniła Panicza od haniebnej śmierci w rzeźni, z rąk rytualnego rzezaka. Zginął jak bohater na posterunku, w obronie swej czci i dobrego imienia, mszcząc równocześnie towarzyszy niedoli, którzy nie uszli swego przeznaczenia. Zemsta, przyznać trzeba, była dotkliwa. Długo jeszcze, nad ciepłym trupem Panicza skakali sobie do oczu dwaj żydkowie, pozostawieni tam na straży, podczas gdy pogotowie zabierało do szpitala ciężko poranionych ludzi.

Na wspomnienie tego dnia, i śmiesznej sumy, jaką otrzymał za niezdatne na „koszer" mięso, zwykł był potem mawiać handlarz - hurtownik:

— Ja swoim wrogom winszuję, coby oni przez całe sto lat każdego dnia robili takie interesy.

ECHA

MADAME CHEVALIER

Umarła pani Chevalier. Pisma, poświęcone idei ochrony zwierząt *wszystkich krai*, uderzyły w żałobny dzwon i poświęcają gorące słowa pamięci tej wielkiego serca kobiety, która długie lata swego życia poświęciła wcielaniu w czyn idei humanitarnych niesienia *doraźnej pomocy* cierpiącym zwierzętom. Bezdomne psy, chore konie, opuszczone koty, wyrzucone z gniazd ptaki — tuliła do swego własnego ogniska lub wynajdywała ludzi dobrej woli, u których je przechowywała, leczyła, utrzymywała, opłacając koszta ich wykarmienia z własnych skromnych funduszów. Przylgnęło też do niej z czasem najpiękniejsze miano, na jakie sobie można w życiu zasłużyć — *„matki cierpiących"* (mère des souffrants), żaden bowiem nędzarz, ludzki czy zwierzęcy, nie był nigdy odepchnięty od progów jej ofiarnego ogniska.

Francuzka z urodzenia, stała mieszkanka Paryża, pani Chevalier osierociła obecnie swoją śmiercią samych psów przeszło 30, utrzymywanych częściowo po różnych „stancjach", które nietylko opłacała, ale ściśle kontrolowała. Chore przepracowane konie odkupywała i zapewniała im skromne bezpieczne stajnie, w których spokojnie dokonywały swego pracowitego żywota. Na tysiące, jak pisze o niej w pięknem pośmiertnem wspomnieniu, poświęconem jej świetlanej pamięci, pani Margerita Geestelink, z Brukselli, możnaby dziś obliczyć te istnienia, wydzierane przez długie lata nędzy i śmierci — zwracane słońcu i życiu. Bo *pani Chevalier miała instynktowny wstręt do gestu, który zwalnia od wszelkich obowiązków i ciężarów życiowych — zadawania t. zw. „humanitarnej śmierci" zwierzętom bezdomnym i chorym*, gestu ohydnie zimnego i egoistycznego, wygodnie kryjącego się pod płaszczem fałszywego humanitaryzmu.

Drobna, wątła, szczupła postać tej kobiety o schorowanej, łagodnej twarzy i wielkich, zmęczonych życiem, smutnych oczach, znana była na

wszystkich przedmieściach Paryża, jak znany był adres założonego przez nią przytułku dla zwierząt przy ulicy de Grenelle, pod który udawali się często w nieszczęściu ludzie lub przyprowadzano znalezione i opuszczone zwierzęta.

Mocny duch i silna wola tej kobiety wiodły ją również tam, gdzie mało komu dane było się wedrzeć, do — tajemniczemi drzwiami bronionych wnętrz instytutów fizjologicznych, bakterjologicznych i innych przybytków okrucieństwa i zbrodni, gdzie pod pokrywką pracy dla „nauki" i „dobra ludzkości" piętrzą się hekatomby ofiar, ohydnie mordowanych zwierząt, których krwią pisane są potem bezwartościowe przeważnie broszurki i różne, t. zw. „naukowe" prace, mające jedyny cel — zaspokojenie próżności podciągnięcia się pod etykietę „uczonych" ich autorów.

Pani Chevalier miała taką odwagę swoich przekonań i siłę czynu, że wielokrotnie udawało jej się, wielkim wysiłkiem, wydrzeć ofiary wiwisekcji wprost z objęć śmierci, ze stołów wiwisekcyjnych!

Wśród osieroconych przez nią zwierząt, których egzystencja śmiercią jej tragicznie nagle została zagrożona, znajduje się i obecnie pies, wyrwany przez nią już ze stołu wiwisekcyjnego, którego nazwała *„Sauvé"*, „Uratowany". Ten był podobno specjalnie miły jej sercu...

Na ręce jej przyjaciółki, pani Caussy w Paryżu, ulica Blomet 77, posypały się z różnych krai datki na poratowanie zagrożonych nędzą istot, drogich sercu tej niepowszedniej kobiety. Pośpieszono narazie z pomocą na pierwsze potrzeby. Lecz kto zagwarantuje ciągłość? „Kto się podejmie podtrzymywać nadal gorący płomień tego niepowszedniego dzieła?" pyta w swojej odezwie pani Margareta Geesteling.

Są straty niezastąpione. Są dusze i serca, skrojone na tak wielką miarę, że trudno im jest dorównać; tli się w nich, wyjątkowo na ten padoł ziemskiego zła, zabłąkana iskra ducha — niełatwa do zatlenia.

Pani Chevalier była nietylko obrończą zwierząt, była to istota, obdarzona ogromną kulturą ducha i wybitnym talentem malarskim. Obrazy jej, odznaczane wielokrotnie na konkursach, mają wielki rozmach i głębię wyrazu.

Niepowszednie serca i czyny znamionują zwykle niepowszednich ludzi.

—:-:—



Pies „Sauvé" — „Uratowany", wydarty z więzów i tortur stołu wiwisekcyjnego!

Dn. 9 maja, r. b. wysłano z Polski, z Warszawy, następujący list: Pani Caussy, 77, ulica Blomet, Paryż (15e).

„Wzruszeni wiadomością o śmierci pani Chevalier i o grożącej nędzy osieroconym przez jej śmierć jej zwierzęcym pupilom, przesyłamy skromny datek 50 fr. na utrzymanie psa Sauvé — wyrwanego z rąk barbarzyńców uniwersyteckich.

Z wysokim poważaniem

Dr. med. W. Knappe
Janina Maszewska - Knappe, redaktorka „Świata Zwierzęcego"
Radykalni przeciwnicy wiwisekcji z Warszawy

Z ŻYCIA LIGI

Z POSIEDZEŃ ZARZĄDU

Na posiedzeniach Zarządu, które się odbyły w dniach 26 maja i 16 czerwca r. b., załatwiono sprawy następujące:

Przyjęto 1 członka protektora, 40 członków rzeczywistych i 11 członków popierających.

Przyjęto do wiadomości list Dr. A. Hantowera o opuszczeniu przez niego lecznicy, zatwierdzając jednocześnie na stanowisku lekarza lecznicy b. profesora uniwersytetu kowieńskiego, Dr. Z. Mockura.

Przewodniczący zdał sprawę z inspekcji na terenie Warszawy, które trwały przez dni ośm w maju i czerwcu w obecności dziesięciu inspektorów dzielnicowych. Sprawozdanie zostało przyjęte i zatwierdzone.

Sprawozdanie z Lublina w sprawie nadmiernych ładunków koni, przeznaczonych na wywóz zagranicę, złożone przez prezesa Zarządu, jak również i konferencje z Władzami lubelskiemi, które odbyły się w m. czerwcu w obecności prezesa P. L. P. Z. i prezesa Oddziału Lubelskiego, p. M. Rulikowskiej, przyjęto do wiadomości. Sprawozdanie powyższe będzie szczegółowo ogłoszone w następnym numerze Świata Zwierzęcego.

Po odczytaniu korespondencji od Władz państwowych i z Oddziałów Ligi, omówiono cały szereg

aktualnych spraw, związanych z ochroną zwierząt, oraz przyjęto do wiadomości sprawozdanie referentów różnych sekcyj, delegowanych z ramienia Zarządu.

——:-:——

LOTNE INSPEKCJE KONI

W dniu 24-go, 28-go, 30-go i 31-go maja, oraz 1-go i 4-go czerwca r. b. pod przewodnictwem prezesa P. L. P. Z., p. R. Mandelskiego, oraz inspektorów dzielnicowych, pp. W. Nowaka, J. Pasternaka i R. Wiewiórskiego, dokonano lotnych inspekcji koni na terenie całej Warszawy.

Rezultatem było skontrolowanie przeszło 400 koni, w tem 6 koni chorych opieczętowano i 19 koni skierowano do lecznicy P. L. P. Z. pod dozór lekarsko-weterynaryjny, oraz sporządzono 4 protokóły za znęcanie się nad zwierzętami.

W czasie trwania inspekcji zauważono, że szereg woźniców, zjeżdżając z góry (Nowy Zjazd), nie hamował wozów, za co byli pociągnięci do odpowiedzialności karnej. Wobec powyższego z polecenia p. przewodniczącego postanowiono prosić Zarząd P. L. P. Z. o wywieszenie na słupach tablic o przepisowym hamowaniu wozów przy następujących ulicach: Nowy Zjazd, Karowej i Książęcej.

——:o:——

DZIAŁALNOŚĆ INSPEKTORÓW DZIELNICOWYCH P. L. P. Z.

Od dnia 10 maja do dnia 10 czerwca 1930 roku.

Protokółów do sądów grodzkich sporządzono 16, opieczętowano koni 32, w sądach grodzkich rozpatrywano spraw 13, skazując winnych znęcania się nad zwierzętami na kary od 10 zł. do 50 zł. z zamianą na areszt od 2 dni do 7 dni.

Powyższe protokóły zostały sporządzone przez następujących inspektorów dzielnicowych P. L. P. Z. pp. A. Felsa, J. Pasternaka, W. Nowaka, R. Wiewiórskiego, A. Chmielewskiego, J. Faszczewskiego, T. Kaczorowską i H. Wiercińską, oraz członka P. L. P. Z. p. M. Krasuską.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Dn. 11 czerwca 1930 r. zmarła w Warszawie ś. p. *z Ostoja - Strzałkowskich Natalja Makomaska*, członek rzeczywisty Polskiej Ligi Przyj. Zwierząt i prenumeratorka „Świata Zwierzęcego". Zmarła, która interesowała się rozwojem naszej instytucji i ochroną zwierząt zapisała w testamencie na rzecz Ligi 1.000 zł. pol.

Cześć jej pamięci!

O F I A R Y

Na lecznicę.

Zebrane przez p. P. Neufeld — zł. 20.

Na schronisko.

J. Landau — zł. 5.
A. T. R. — zł. 5.

Na usypianie nieulecz. chor. psów i kotów.

Z. Kuczkowska — zł. 15.

Na cele Ligi.

Za pośrednictwem p. bar. Z. A. Kosińskiej z Anglji przesłano £ 2. — zł. 86.35.
Inż. T. Czaderski — zł. 6.

Na wydawnictwo „Świat Zwierzęcy".

Porto zagranicę — J. M. K. — zł. 10.
Urzędnicy firmy Nobel — zł. 10.
A. Wallówna — zł. 2.
H. Wardęski — zł. 15.

WARUNKI PRENUMERATY: w Warszawie rocznie zł. 6.—, półrocznie zł. 3.—; na prowincji rocznie zł. 7.—, półrocznie zł. 3.50 Zagranicą rocznie (z przesyłką) zł. 10.—. Dla członków P. L. P. Z. w Warszawie rocznie zł. 5.—, półrocznie zł. 2.50, na prowincji rocznie zł. 5.50, półrocznie zł. 2.75. Konto czekowe P. K. O. 15195.

Redakcja czynna codziennie, oprócz niedziel i świąt, od godziny 10 do 11 i od 4 do 5. Administracja—od godz. 5 do 7 wiecz.

Redaktor: **Janina Maszewska-Knappe.**

Wydawca: **Polska Liga Przyjaciół Zwierząt** — w osobie prezesa **Romualda Mandelskiego.**

Drukarnia Artystyczna, N.-Świat 47, tel. 35-80 i 35-83.

OD REDAKCJI.

Wszyscy członkowie P. L. P. Z. proszeni są o nadsyłanie składek na 1930 rok przekazem na P. K. O. Nr. konta 15.195, względnie o wpłacenie do kancelarji Ligi, Aleja Szucha 7, od godz. 5 do 7 wiecz. *oraz o zapisywanie się na listę prenumeratorów „Świata Zwierzęcego“.*

Żetony P. L. P. Z. są do nabycia w Biurze Polskiej Ligi Przyjaciół Zwierząt w Warszawie, Aleja Szucha Nr. 7 (Tel. 59-32), w cenie: ze zwyczajnego metalu po 50 groszy, srebrne zaś po 2 zł. sztuka.

Prosimy naszych Czytelników o reklamowanie *„Świata Zwierzęcego“* i o dostarczanie nam ogłoszeń w celu poparcia materjalnego i umożliwienia rozwoju naszej placówki.

Redakcja rękopisów nie zwraca i zastrzega sobie prawo przeróbek.

Upraszamy o wpłacanie prenumeraty za pismo przekazem na P. K. O. Nr. konta 15.195, względnie o wpłacenie do kancelarji Ligi, Aleja Szucha 7, od 5 do 7 wieczorem.

Prenumeratorom „Świata Zwierzęcego“, którzy nie wpłacili prenumeraty za pierwsze półrocze r. b., wysyłanie numerów wstrzymano z dniem 1-go maja.



Redaktor **Janina Maszewska-Knappe.**

Wydawca **Polska Liga Przyjaciół Zwierząt** — w osobie prezesa **Romualda Mandelskiego.**

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy-Świat 47, tel. 35-80 i 35-83.